



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Teresa Gruszewska

Łączniczka z Krakowa

Rok 1939 – wakacje. Kolonia dzieci pracowników 2 Pułku Lotniczego z Krakowa urządzona w Myślenicach. Powinno być wesoło, o co starali się wychowawcy, a jednak coś gasi nastrój. Pojawiają się pierwsze symptomy nadchodzącej wojny. Jednym z nich jest obserwowany z okien budynku kolonijnego przemarsz długich kolumn piechoty. Dzień był upalny – wojsko idące od Krakowa w pełnym rynsztunku, ogromnie zmęczone, ledwo człapało. Kierunek na południe. Drugim ważnym wydarzeniem dla dzieci był dzień zakończenia kolonii. Z rana miały przyjechać po nas samochody wojskowe, tymczasem zamiast nich w południe zajechało autko trzykołowe, złośliwie nazywane hulajnogą. Zabrano nim 12 z 200 dzieci. Ja wróciłam w tej pierwszej grupie. Następna miała wracać nocą. Rodzice oczekujący na swoje pociechy naradzali się nad zorganizowaniem transportu furmankami. Przez ostatnie trzy dni sierpnia dzieci szkolne wraz z rodzicami kopały okopy za budynkiem szkolnym.

Pierwszego września o godz. 5.30 obudził nas głośny, „ciężki” warkot samolotów, po którym nastąpiły silne wybuchy. To eskadry niemieckich samolotów zrzuciły bomby na pobliskie lotnisko uszkadzając część zabudowań, zabijając lub raniąc personel obsługi. W pobliżu ul. Głównej w Rakowicach również są ranni. A zatem to już początek wojny! Tego dnia z powodu powtarzających się nalotów dostałyśmy się z mamusią (tata już nie żył) z Rakowic do znajomych na ul. Świętokrzyską w Krakowie. U nich aparat radiowy włączony był bez przerwy. Muzyka często przerywał ponury głos spikerki: „Uwaga, uwaga, tu Karol, tu Karol, nadchodzi, nadchodzi”. Była to zapowiedź nadlatujących nad miasto obcych samolotów. Syreny alarmowe wyły przejmująco. Zdarzało się, że przed zapowiedzianym ostrzeżeniem wróg już był nad Krakowem, zrzucając swoje ładunki bombowe na Kazimierz, dworzec towarowy czy Podgórze, względnie tylko przelatując nad domami. Po chwili głos z radia: „Uwaga – uwaga! Przeszedł – przeszedł”. Odwołanie alarmu. Chwila odprężenia. Czyjś głos dodaje otuchy: „Anglia i Francja już – już idą z pomocą...” I znów: „Uwaga – uwaga, tu Kawa – tu Kawa, nadchodzi...”. Tak było dniem i nocą.

Było to trudne do wytrzymania, więc wróciłyśmy do Rakowic. Pierwszy dzień wojny to zaskoczenie, ale i ufność, że się nie damy, że nadejdzie pomoc. Następane dni to panika – kto może w pośpiechu opuszcza miasto. Z tobołami na plecach, na wózkach dziecięcych przypiętych do rowerów – jak kto może. Ulicą Mogiłską wędrują gromady ludzi – kierunek na wschód. Bombardowania powtarzają się, lotnisko opustoszało, hangary płoną. Pali się też pałac księży Pijarów przy lotnisku. Rodziny wojskowych i pracowników cywilnych 2 Pułku Lotniczego pociągnęły za wojskiem. Moja Mamusia również w pośpiechu zapakowała niezbędne rzeczy do pieszej wędrowki i ruszyliśmy za innymi w stronę Proszowic. Wędrowka nie była spokojna, gdyż często przelatywały eskadry samolotów niemieckich siejąc popłoch wśród uciekinierów. Podczas jednego z takich przelotów wywiązała się strzelanina między wojskiem idącym

przed nami, a myśliwcami wroga. Przeżyliśmy sporo strachu leżąc w rowach i pod krzakami. Tak wędrując z przeszkodami doszliśmy w pobliże Proszowic, gdzie zostaliśmy zatrzymani przez grupę naszych żołnierzy. Tłumaczono nam, że jeden z oddziałów za Proszowicami szykuje się do walki z nadciągającym wrogiem. A zatem odwrót, naturalnie nie w stronę Krakowa, lecz w bok.

I tak znalazłam się wraz z Mamusią we wsi (o ile dobrze pamiętam nazwę) Koszyce. Tam zatrzymałyśmy się w najbliższej zagrodzie. Gospodyni, mieszkająca sama z małym dzieckiem (mąż jej został zmobilizowany) ucieszyła się, że będzie więcej osób w domu. Tam przeżyliśmy pierwszą grozę. Aby nie siedzieć bezczynnie Mamusia i ja, jedenastoletnie dziewczę, chciałyśmy pomagać w codziennej pracy. Następnego dnia gospodyni wyprowadziła dwie krowy w pole, w pobliżu lasu i prosiła, żeby ich popilnować. Oponowałyśmy mówiąc, że się zwierząt boimy, ale nas zapewniła, że krasule są spokojne i wróciła do domu. Cóż było robić? Pilnowałyśmy. Po chwili usłyszałyśmy złowrogi warkot obcego samolotu. Wyleciał znad lasu biorąc ostry zakręt w naszym kierunku. Zniżył lot i śmignął tuż nad naszymi głowami. Potem poderwał się w górę, by powtórzyć to jeszcze dwukrotnie, po czym odleciał. Było to straszne wrażenie, gdyż wiedziałyśmy już, że strzelają do ludzi, zarówno na drogach jak i w polu. Byłyśmy przerażone, a krowy już po pierwszym przelocie samolotu przysły w stronę zagrody. Tegoż dnia spakowałyśmy manatki i wyruszyłyśmy z powrotem do domu. Po drodze minawszy Brzesko musiałyśmy przeczekać w krzakach przejazd wojsk niemieckich, udających się w stronę Krakowa – olbrzymie kolumny na motorach z przyczepami. Trwało to całą godzinę.

W domu zastałyśmy mieszkanie otwarte, częściowo ogołoczone. Kraków był już zajęty przez wrogów. W październiku zezwolono dzieciom na naukę. Budynek szkolny w Rakowicach przejęły wojska niemieckie, trzeba więc było chodzić do odległej szkoły w Prądniku Czerwonym. W następnym roku rozpoczęliśmy naukę w Rakowicach w wynajętym na ten cel budynku prywatnym. Z podręczników nie wolno było korzystać, więc zamiast nich mieliśmy wydane za zezwoleniem okupanta czasopisma zwane „Sterami”. Z tych samych numerów pisma korzystano zarówno w klasie piątej, jak i siódmej. Treść „Sterów” to opowiadania opisujące przyrodę, coś z biologii oraz zwyczajów ludowych. Było sporo wierszy. Nauki rachunków w „Sterach” nie było, a więc tylko od nauczycieli zależało co wybrać z tego materiału i jak poprowadzić lekcję, aby uczeń możliwie najwięcej skorzystał. Oczywiście takich przedmiotów jak geografia czy historia wróg nauczać nie pozwolił. Wiadomości z tych dziedzin przekazywano nam ukradkiem na lekcjach polskiego czy przyrody. Katechetą był ks. Władysław Gałat. On też uczył nas patriotyzmu. Wieczorami z grupą dzieci organizował w kaplicy modlitwy za Ojczyznę. Piękne były także jego opowiadania. Każdy taki wieczór kończył się cichutkim śpiewem, tak aby przechodzący patrol nie mógł go usłyszeć. Następnie ks. Gałat wychodził przed kaplicę i gdy nikogo nie było w pobliżu wypuszczał po jednym dziecku. Nieraz z powodu godziny policyjnej widząc w oddali patrol trzeba było do domu dostać się przez sąsiednie ogrody. A były to dla dzieci najmiłsze wieczory!

Życie było coraz trudniej. Chleb gliniasty w niewystarczającej ilości, marmolada z brukwi i margaryna – to cały przydział na kartki. Pozostałe produkty, jeżeli kogoś było na to stać, zdobywano na wsiach, najczęściej drogą wymiany za odzież, dywany i biżuterię. Sklepy odzieżowe były tylko dla okupanta.

Rok 1941 – jesień. Byłam w klasie szóstej. Mamusia podjęła pracę w Miejskiej Kolei Elektrycznej (późniejsze MPK) w charakterze konduktorki, tj. sprzedającej bilety w tramwaju. Bywało, że kiedy miała służbę przed południem tj. od godz. 5-tej do 14-tej jeździła też za kogoś na drugiej zmianie, aby więcej zarobić na codzienne utrzymanie. Wtedy ja odnosiłam do kasy biura należność za bilety z pierwszej zmiany i odpisywałam rozkład jazdy na następny dzień. Któregoś dnia kierownik biura inspektor Mrozowski zapytał Mamę czy zgodzi się, abym zniosła list, który trzeba doręczyć na godz. 16-tą. Ponieważ mieszkamy w Rakowicach, to mamy bliżej. Podał adres – tuż za koszarami, ul. Dobrego Pasterza i numer domu, przed którym ktoś to ode mnie odbierze.

Wyruszyłam w drogę. Polecenie wykonałam bez trudu, za co otrzymałam dużą torebkę śliwek. Miały mi one ułatwić powrót w razie napotkania patrolu niemieckiego, który mógł spytać, po co chodziłam w tamtą stronę. Nie odbyło się bez strachu. Gdy już byłam w połowie drogi między koszarami a pałacem księży Pijarów, na pobliskiej płycie lotniska ruszył do startu samolot – zapewne ćwiczebny. Jego trasa wiodła od hangaru w moją stronę. Maszyna jadąc po murawie z coraz większą szybkością nie odrywała się od ziemi. Dopiero w ostatniej sekundzie uniosła się w powietrze tuż przed ogrodzeniem o wysokości 60 cm, wzdłuż którego prowadziła droga. Nie mogąc już uciec przed samolotem, rzuciłam się do rowu biegnącego poboczem. Śliwy przepadły. Pomimo przeżytej grozy wędrowkę powtarzałam jednak jeszcze kilkakrotnie wiedząc, że to bardzo ważne. Po kilku miesiącach drogę zamknięto włączając ją w teren lotniska.

Okupant rozpoczął dręczenie rodzin związanych z byłym 2 Pułkiem Lotniczym. Jest rok 1942 – kwiecień. Po lekcjach poszłam na ul. Topolową, by w sklepie papierniczym kupić sobie potrzebny zeszyt. Mamusia po pracy była w domu. W tym czasie przyszedł po mnie policjant polski, tzw. granatowy, z listą na wyjazd na roboty do Niemiec. Ja – trzynastolatka – znalazłam się na tej liście. Od wyjazdu uchronił mnie tenże policjant. Poradził Mamusi, aby wysłała mnie gdzieś na wieś, a on tymczasem załatwi skreślenie mnie z listy. Ponieważ nie miałyśmy nikogo z rodziny ani znajomych na wsi, sam podał nam

adres, gdzie mogę przeczekać. Skorzystałyśmy z jego pomocy. Wieś nazywała się Rzęchów czy Rzochów koło Mielca. Miałam więc przymusowe wakacje. Po dwóch tygodniach Mamusia przyjechała po mnie z wiadomością, że już załatwione.

Wracamy koleją. Na dworcu w Krakowie duże zamieszanie. Niemcy obstawili dworzec. Łapanka, kontrola bagażu. Nam udało się dostać do wyjścia. Teraz dodam drobne wyjaśnienie. Otóż dworzec kolejowy był tak ogrodzony, że nikt się z niego nie mógł wydostać inaczej niż przez specjalne wyjścia, które były dwa koło siebie. Jedno dla „panów świata” – Niemców, drugie dla nas, Polaków. Mamusia z dużą torbą z moją odzieżą wyszła pierwsza oddając zużyty bilet, gdyż inaczej nie można było wyjść z dworca. Ja miałam małą, nieładnie zapakowaną, ciężką paczkę. Wręczył mi ją gospodarz przy wyjeździe ze wsi z poleceniem, aby oddać temu, kto dał mi jego adres. Zwracając bilet przy wyjściu zostałam poinformowana przez biletera, wskazującego mi drugie wyjście, że: „für Deutsche ist dort”. Nie tracąc głowy i nie chcąc pokazać, że się pomyliłam, zawróciłam i przemaszerowałam przez ich wyjście. Do dziś jest to dla mnie zagadką, czy była to pomyłka biletera czy taki sposób bezpiecznego wyjścia przygotowany przez znajomego policjanta. Następnie trzeba było przejść przez sito obstawy. Ponieważ wyszłam wyjściem dla Niemców – na mnie szczęśliwie nie zwrócili uwagi. Zdała zobaczyłam przerażoną minę Mamusi i czekającego w pobliżu znajomego policjanta. Odebrał ode mnie paczkę, zapewniając że wszystko w porządku i już mogę wracać do domu.

Skończyłam klasę szóstą. Nasz katecheta ks. Gałat spędza wakacje w swym domu rodzinnym koło Biezanowa. W niedzielę po mszy św. w kaplicy w Rakowicach ks. Roman Garczyński zwraca się do mnie mówiąc, że ma dla ks. Gałata grubszy, bardzo ważny list, który trzeba doręczyć, ale nie koleją. Pytam Mamusię o pozwolenie i otrzymuję zgodę. Idę pieszo polami, a ze mną koleżanka Marysia, która zna drogę do Biezanowa, gdyż ma tam dalszą rodzinę. O liście nic nie wie. Powiedziałam jej tylko, że ksiądz katecheta ma stawić się w Kuratorium, co zresztą nie było prawdą. Pełnego adresu nie mamy. Po przybyciu na miejsce nie miałyśmy kogo spytać, gdzie mieszkają Gałatowie – wokół pusto. Wreszcie dostrzegamy w rogu rynku siedzącego przed jednym z domów w ganku starszego mężczyznę. Zapytany o dom Gałatów z uśmiechem wskazuje nam kierunek, przykazując iść prosto drogą. Doszliśmy już łatwo. Przed domem czekał na nas ks. Gałat wraz z rodzicami. Widocznie ten starszy pan był „punktem kontaktowym”. Cekał on na nas i powiadomił księdza o naszym przybyciu. Po krótkim odpoczynku wróciliśmy koleją jeszcze przed godziną policyjną.

Lipiec 1942 roku. Niedługo cieszyłam się wakacjami. Wkrótce pojawiło się nowe zmartwienie – przysłano wezwanie z Arbeitsamtu, kierując mnie do pracy w fabryce papieru, a ściślej kopert pod nazwą „Wesko-Mill” przy ul. Glinianej. W ten sposób 15 lipca 1942 roku z uczennicy stałam się robotnicą. Wyznaczono mi stanowisko w hali maszyn, gdzie pracowałam w ogromnym łaskocie żelastwa, bez ochraniaczy na uszach. I znów zaczęły się starania znajomego policjanta o przywrócenie mnie do szkoły. W rezultacie 9 listopada zostaję zwolniona z „Wesko-Millu”, ale Arbeitsamt nie rezygnuje – zamiast do szkoły kieruje mnie do szwalni mundurowej u Hanischa przy ul. Sławkowskiej 12. Do pilnowania pracownic były dwie Niemki. Jedna z nich, Lucy, była nawet względna, druga natomiast – Gertrud bardzo znęcała się nad nami. Nigdy nie wiedziało się kiedy, z której strony i za co dostanie się w twarz. Był tam zwyczaj, że codziennie inne pracownice w czasie przerwy śniadaniowej przynosiły szwabkom posiłek z pobliskiego Grand-Hotelu. Dostawało się od nich ich dowody i na tej podstawie odbierało się tam śniadania. Któregoś dnia obowiązek ten przypadł mnie. Gdy z ausweisami Niemek wyszłam z budynku, przystąpiło do mnie dwóch młodych mężczyzn wyglądających na robotników, którzy zażądali pokazania szwabskich dowodów. Z jednego z nich coś spisali, po czym zwrócili dokumenty, podziękowali i pospiesznie oddalili się. Po kilkunastu dniach Gertruda została zastrzelona w swoim mieszkaniu.

U Hanischa przemęczyłam do 5 marca 1943 roku. Stąd ponownie skierowano mnie do „Wesko-Millu”, do fabryki papieru. Tym razem przeznaczono mnie do maszyny wykonującej dla wojska tak zwane feldposty. Oczywiście najpierw przyuczenie, które za moją sprawą trwało dość długo. W tym czasie, od 9 do 20 marca, korzystałam ze zwolnienia lekarskiego. Następnie prowadzono remont maszyny zorganizowany przez naszych monterów. Wreszcie zdenerwowany dyrektor fabryki Steinbrecher nakazał rozpoczęcie pracy przy feldpostach. Nie chcąc nic wykonywać dla wrogiego wojska – następnego dnia nie zgłosiłam się do fabryki. Otrzymałam pierwsze wezwanie. Następne 16 czerwca 1943 roku, ale już z groźbą, że w razie niestawienia się do pracy przekażą mnie na roboty do Rzeszy. I tym razem nie podporządkowałam się nakazowi. Kolejne wezwanie grożące ukaraniem przez władze wojskowe. Pomimo to do pracy się nie zgłosiłam. Dla bezpieczeństwa nie przebywałam w domu tylko u znajomych, co parę dni u innych. Mamusia po pracy też nocowała coraz to u innej konduktorki. Pewnego dnia wystarawszy się u lekarza „tramwajowego” o zwolnienie chorobowe chciała coś zabrać z naszego mieszkania. Po włożeniu klucza w zamek w ostatniej chwili zauważyła, że drzwi są przemyślnie oplombowane. U samej góry wbite małe gwoźdźki, jeden w futrynę, drugi do drzwi i zawiązane nitką. Widocznie ktoś miał nakazaną obserwację. Znowu pomógł znajomy policjant, który do fabryki posłał pismo stwierdzające zatrzymanie mnie w łapance na roboty do Niemiec. Udzielał też pomocy inspektor Mrozowski, który wraz

z tramwajowym lekarzem dr Chudzickim wystarał się o komisyjne stwierdzenie u mnie gruźlicy płuc, co zwalniało mnie od obowiązku pracy w fabryce i skutecznie wybawiło nas z opresji.

Pod koniec czerwca zdaję egzamin z klasy siódmej, którą przerabiałam w domu. Wreszcie mam wakacje! We wrześniu 1943 roku zostaję przyjęta do szkoły zawodowej – dział trykotarstwa, przy ul. Pędzichów 13. Uczyliśmy się w dużej sali gimnastycznej przedzielonej na dwie części filarami podtrzymującymi sufit. W jednej części naukę pobierało trykotarstwo, w drugiej równocześnie drugi rok bielizniarstwa. Nie przeszkadzałyśmy sobie wzajemnie, ponieważ tak dobierano program, że gdy jedna klasa miała lekcje tzw. głośne, jak nauka j. niemieckiego czy matematyki, druga w tym czasie przerabiała rysunki lub zajęcia praktyczne. Inne sale zajęte były osobno przez poszczególne grupy. Nie we wszystkich odbywała się nauka – dwie lub trzy sale zajęte były przez ukrywających się uciekinierów oraz dzieci odebrane z transportu, o czym większość z nas nic nie wiedziała. Dla części uczennic gotowano obiady, których one nie otrzymywały – żywiono nimi ukrywających się.

Mimo że nauka w zawodówce niewiele dawała prócz zawodu, chętnych było sporo, gdyż legitymacja szkolna chroniła w czasie łapanek – przynajmniej w pierwszych latach okupacji. Nie otrzymałam tutaj dobrego świadectwa, gdyż bywało, że godziny lekcyjne spędzałam w drodze z „listami”. Brakowało mi potem przerabianego materiału. A zaczęło się to mniej więcej w miesiąc po rozpoczęciu nauki. Zostałam wezwana przez terejana do dyrektorki. Idąc po schodach na piętro przechodziłam w myślach wszystkie przewinienia uczniowskie. Nie znajdując żadnych śmiało wkroczyłam do kancelarii. Tu spytana przez dyrektorkę, czy wiem gdzie jest ulica Gontyna, dowiedziałam się, że mam zanieść list pod numer 7 i to czym prędzej. Mam nacisnąć dolny dzwonek, wyjdzie starsza pani – siwa, ubrana na czarno. Jej miałam oddać list i szybko wracać. W tym czasie na Salwatorze wille opuszczone na rozkaz okupanta przez właścicieli zajęły rodziny niemieckie. W domach mogli pozostać zamieszkując w suterrenach tylko ci, którzy zgodzili się utrzymywać czystość w budynku i dookoła. Często ten warunek przyjmowali właściciele, aby opiekować się swoją własnością. Sprawilałam się według wskazówek i to nie tylko ten raz.

Późną jesienią jedna ze starszych uczennic wysłana została do Płaszowa, a mnie przydzielono jej do towarzystwa. Po otrzymaniu na miejscu dużej, naładowanej teczki, wracałyśmy tramwajem. Usiadłyśmy w przyczepce z dala od wejścia (ówczesne tramwaje miały ławki umieszczone wzdłuż po bokach). Bagaż umieściłyśmy między sobą na ławce. Pasażerowie zajęli wszystkie miejsca siedzące. Do poczty głównej jazda była spokojna. Po zatrzymaniu się na przystanku przy poczcie tramwaj został otoczony przez niemieckich żandarmów. Dwóch z nich wpadło tylnym wejściem do wozu. Krzycząc „raus, raus!” zagarniali wszystkich do przedniego wyjścia. Ja wpatrując się uparcie w tego, który z wrzaskiem przeganiał pasażerów z naszej strony, równocześnie niemal automatycznie otwierałam teczkę z zeszytami szkolnymi, którą trzymałam na kolanach i sięgnęłam do środka. Żandarm zauważył to i nagle dziwne się przestraszył. Wprost błyskawicznie wypchnął resztę ludzi i nerwowo oglądając się za siebie zatrzasnął drzwi. I tak w kilkanaście sekund wewnątrz wozu było puste. Zostałyśmy same. Koleżanka błada, niezdolna do żadnego ruchu, ja zdziwiona, co go tak przeraziło – przecież sięgałam do teczki tylko po legitymację szkolną. Opróżniony z pasażerów tramwaj ruszył w dalszą drogę. Była to jedna z licznych łapanek. I tak cudem ocalone wróciłyśmy do szkoły.

Rok 1944 – luty. Z polecenia inspektora Mrozowskiego udałam się w jedną z moich wędrówek do Rabki. Wróciłam nocą po wywiązaniu się z zadania. Ogromna śnieżycyca, trasa przez park. W ciemności na moment pojawiły się dwie zielone iskierki – zapewne przebiegający kot. Nareszcie wydostaję się na drogę. Śnieżycyca ustaje. W oddali dostrzegam sylwetki patrolu niemieckiego, zdążającego chodnikiem wzdłuż cmentarza. Pochyleni rażno maszerują przed siebie. Idąc od drzewa do drzewa doszłam w pobliże dworca kolejowego. Niestety dworzec obstawiony przez szwabów. Mając do odjazdu pociągu prawie dwie godziny ruszam ostrożnie w kierunku szosy na Chabówkę. Śnieżycyca nasila się tak, że po prostu nic nie widać. Nie jestem pewna czy idę środkiem szosy. Na chwilę przystaję i dostrzegam za sobą niski słupek. Ruszam przed siebie sądząc, że jest to punkt wyznaczający brzeg szosy. Po kilkunastu minutach marszu stwierdzam, że znów mam za sobą słupek. Kilka kroków przed siebie i znów to samo. Wtedy domyśliłam się, że tym „słupkiem” jest pies idący za mną. Bojąc się go zatoczyłam wielkie koło i wróciłam w stronę Rabki... A tymczasem pies za mną. Weszłam za ogrodzenie pierwszej napotkanej willi. Śnieżycyca zrzędnęła. Nagle usłyszałam z willi ostry głos wydający rozkazy po niemiecku. Domyśliłam się czyja to siedziba. Zapomniawszy o psie w mig znalazłam się koło dworca. Obstawy już nie było. Weszłam ostrożnie do środka. Po zakupieniu biletu dostałam się do pociągu, który w kilka minut później ruszył do Krakowa. Do Rabki więcej nie pojechałam – nie uzyskałam zgody Mamusi.

Lipiec 1944 roku. Zamieniamy mieszkanie. Ponieważ Mamusia jako konduktorka w MKE ma z Rakowic daleko do pracy – przeprowadzamy się do domu przy ul. Wawrzyńca 18. Pierwsze groźne zdarzenie w nowym mieszkaniu nastąpiło w tydzień później. Tego dnia Mamusia miała służbę na „Jedynce”. Ja po zdobyciu pieczywa zaniósłam jej śniadanie. Po dwóch godzinach powrót do domu. Zastaję drzwi do mieszkania rozbite, przybity skobel i zamknięte na kłódkę. Dozorczyni biegnąc za mną po schodach mówi, że z sąsiedniego mieszkania służąca splunęła przez okno na idącego ulicą żołnierza niemieckiego. Ten z wrzaskiem wbiegł na piętro, wyważył pierwsze drzwi (nasze), ale stwierdził, że okna

tego mieszkania wychodzą na podwórze i na szczęście nikogo w nim nie było. Widząc swą pomyłkę, dziko klnąc wybiegł na ulicę, a dozorczy klódką zabezpieczyli drzwi. Dowiedziawszy się, co się stało bardzo podenerwowana ruszyłam z powrotem do Mamy na linię. Szłam ulicą Starowiślną, dziwnie pustą – czego w zdenerwowaniu nie zauważyłam – w kierunku poczty. Dochodząc do skrzyżowania z ul. św. Gertrudy, za rogiem mimo woli znalazłam się w grupie ludzi otoczonych przez żandarmerię niemiecką. Oprzytomniałam. Zobaczyłam pusty tramwaj na przystanku, z którego to zapewne przed chwilą zagarnięto ludzi. Spokojnie, energicznym marszowym krokiem, tak jak weszłam, tak i wyszłam z kręgu. Znalazłam się na stopniu tramwaju, a motorniczy wykorzystał ten moment i ruszył z kopyta w kierunku Dworca Głównego.

W sierpniu jeszcze raz skorzystałam z pomocy znajomego policjanta, który uzyskał dla mnie wpis do dowodu osobistego, tzw. kenkarty, stwierdzający moją nieprzydatność do kopania okopów. W tym czasie masowo zabierano ludność do tego typu prac, gdyż okupant przygotowywał się do obrony przed zbliżającą się linią frontu. Wpis ten chronił w czasie łapanek i naturalnie bardzo mi się przydał. Mieszkając przy ul. Wawrzyńca węgiel kupowałam przy ul. Bocheńskiej. Oczywiście wystawało się po kilka godzin w kolejce zanim opał dowieziono do składu. Pewnego jesiennego dnia po napełnieniu wiadra węglem i drewnem wracałam do domu nic nie wiedząc o tym, że z sąsiednich ulic zabrano wszystkich przechodniów na ul. Wąską (tam w budynku szkolnym był punkt zbiorczy, skąd wywożono ludzi na roboty do Rzeszy), a ulica św. Wawrzyńca jest obstawiona. Mnie również zatrzymało dwóch SS-manów, żądając „ausweisu”. Uważnie przyglądali się mnie i temu, co niosę. Kontrolując moją kenkartę zobaczyli wpis opieczętowany przez ich „Stadthauptmann der Stadt Krakau, Polizeidirektion”. Po chwili posprzeczałi się o coś, wreszcie oddali mi dokument i kazali szybko iść do domu. W tym czasie wywożono akurat maszyny z elektrowni, więc wracając do domu musiałam przejść koło samochodów, na które ładowano sprzęt. Dwa dalsze auta ciężarowe stały obrócone tyłem do budynku elektrowni. Platformy dosunięte do otworów, żaluzje odsunięte i tak drągami spychano części maszyn wielkości 1 do 1,5 metra sześciennego z hali wprost na platformy. Zapewne byłam jedynym świadkiem, który mógł przejść koło samochodów. Inni widzieli ten rabunek z okien mieszkań.

Zerwał nas ze snu alarm i zaraz warkot i trzask płonącego, przelatującego tuż nad naszym domem samolotu. Zdawało mi się przez chwilę, że płomienie obejmują cały pokój. Następnego dnia ktoś przyniósł wiadomość, że był to jeden z angielskich samolotów dostarczających rzuty, postrzelony przez szwabów. Opadł na Zablociu.

Coraz częściej zdarzają się łapanek, coraz więcej patroli kontroluje, co się niesie. Pewnego grudniowego dnia z tramwajowego biura mam zanieść dość dużą paczkę, ciężką, opakowaną w papier do zaciemniania okien, do domu przy Plantach Dietla w pobliżu ul. E. Orzeszkowej. Paczkę wzięłam do torby na zakupy, na wierzch włożyłam ćwiartkę przydziałowego chleba i ubrana na zimowo w spodnie (wówczas jeszcze mało rozpowszechnione wśród kobiet), kurtkę oraz czapkę z daszkiem wyruszyłam z rana tuż po godzinie policyjnej ulicą św. Wawrzyńca w kierunku celu. Będąc już na rogu z ul. Bożego Ciała zobaczyłam szwabów legitymujących przechodniów. Chcąc im zejść z oczu weszłam za ogrodzenie w pobliżu kościoła, po czym biegiem wpadłam do świątyni. Tylko przy głównym ołtarzu przy świecach odprawiano mszę św. Boczne ołtarze miały po jednej świecy. Była godz. 6.30, ludzi w kościele było niewielu. Przykleknęłam w bocznej, prawej nawie za filarem. Po chwili w przedsionku stukot butów patrolu. W tym momencie słyszę koło siebie czyjś głos: „zdyń czapkę”, powtórnie „zdyń czapkę” i z naciskiem „zdyń, zdyń!” Mimo groźnej sytuacji roześmiałam się. Widocznie wtedy starszy człowiek, który zwracał mi uwagę zauważył, że spod czapki widać warkocze, że się pomylił. Mruknął przeciągle „ooo” i prędko się oddalił. W samą porę. Niemiecki patrol przeszedł przez środek kościoła i nie zaglądając na boki powoli go opuścił. Po skończonej mszy św. wyszłam ostrożnie wraz z grupą ludzi. Jednak nie dane mi było spokojnie dojść do celu. Było jeszcze było ciemno, przede mną skrzyżowanie ul. Krakowskiej z Plantami Dietla, no i... jakże by inaczej – z wrogiem patrolem. Cofnąć się już nie można, z tyłu nie wiadomo skąd również ich słychać. Nie zwalniając tempa idę prosto na patrol. W momencie mijania któryś z nich oślepił mnie latarką. Odruchowo, bez zastanowienia, odchylając głowę w bok, warknęłam „was machts du?”. Latarka zgasła, a ja nie zatrzymując się pomaszzerowałam dalej. W miarę oddalania się od nich nogi dziwnie mi sztywniały, a w myśli odmawiałam bez przerwy „Pod Twoją obronę”. Nie jestem w stanie uprzytomnić sobie, czy całą modlitwę odmawiałam od nowa czy też nie kończąc powtarzałam w kółko jeden jej fragment. O, jakże długi był to odcinek drogi, tym dłuższy, że minęłam wskazany mi adres i skręciłam w ul. Orzeszkowej. Dopiero na zakręcie mogłam stwierdzić, że nikogo za mną nie ma. Po chwili zawróciłam i weszłam pod właściwy numer domu, już nie na nogach, a na zdrewniałych kłodach. Po specjalnym sygnale dzwonka otwarły się drzwi, ale nie te, do których dzwoniłam, tylko z podwórka i wszedł jakiś mężczyzna. Przechodząc koło mnie mruknął jakby do siebie „Węgiel już mamy”. W tym momencie zrozumiałam, że to hasło, a odpowiedź jakby z daleka dopłynęła do mej myśli. Odpowiedziałam – „do pełna”. Mężczyzna zawrócił i wskazał mi drogę przez podwórze do mieszkania. Nogi zrobiły mi się jak z waty. Posadzono mnie na jakiejś leżance opierając o ścianę.

Nieznamy, który mnie przyprowadził wyszedł na chwilę, może na kwadrans. Po powrocie stwierdził, że wszystko w porządku. W godzinę potem wracałam z ustnym poleceniem, już bez niesienia czegokolwiek.

Nieraz pytano mnie, czy się nie boję. Ja odczuwałam lęk, gdy otrzymałam zadanie, lecz gdy byłam już w drodze jedyną moją myślą było, że muszę za wszelką cenę to wykonać i to dodawało mi odwagi i sprytu. Ale nie zawsze hart ducha i szybki refleks zapewniały bezpieczeństwo. W połowie grudnia krótko przed godziną policyjną wracałam do domu po wykonaniu zadania. Szłam ul. Potockiego od Dworca Głównego w kierunku poczty. W pewnym momencie – strzelanina. Ktoś ucieka, a szwabki gonią i strzelają. Stało się to tak błyskawicznie, że nie zdążyłam dopaść do najbliższej bramy. I wtedy dostało mi się. Kulka przeszła powyżej kolana przez mięsień, na szczęście nie uszkadzając kości. Gdy strzelający pogonili dalej kobieta, która widziała przez okno co się stało, przyniosła kawałek białej tkaniny, przewiązała ranę i pomogła mi dojść na pogotowie ratunkowe, mieszczące się przy tejże ulicy w budynku straży pożarnej.

Święta Bożego Narodzenia w 1944 roku. Na stole wigilijnym więcej niż skromnie, a właściwie biednie. Mieszkałyśmy w kamienicy z dużą liczbą lokatorów, a z żadnego mieszkania nie było słychać śpiewu kolęd. Wszyscy obawialiśmy się zbliżającego się frontu (wiedzieliśmy, że Kraków jest podminowany, szczególnie elektrownia, przy której mieszkaliśmy), a zarazem czekaliśmy na jak najszybsze wyzwolenie od okupanta.

Styczeń 1945 roku. Upragnione wyzwolenie coraz bliżej. Alarmy przeciwlotnicze – już nie tylko dniami, ale i nocami. Podczas jednego z nich przesiedziałam w schronie urządzonym pod Sukiennicami z wejściem od strony ul. św. Jana, tam gdzie kwaciarki z Rynku przechowują kwiaty nocą. Czuliśmy się tam bezpiecznie, nie zdając sobie sprawy z tego, że Sukiennice też są podminowane.

Ponieważ spodziewano się wysadzenia mostów, a mieszkaliśmy w pobliżu jednego z nich, jak też elektrowni, więc 15 stycznia przenosimy się na kilka dni do p. Iskry (kontrolerki) na ul. św. Gertrudy 8. Tam większą część dnia spędzamy w schronie. Jest to wydzielona część piwnic z sufitem podpartym grubymi belkami. Piwnica łączy się z korytarzem sąsiedniego budynku. Okna schronu zabezpieczone zostały skrzynkami z piaskiem, ustawionymi od strony chodnika. Przebywało tu dużo osób, nie tylko mieszkańcy tej kamienicy, ale i inni, którzy z różnych względów nie czuli się u siebie bezpieczni, jak też przypadkowi przechodnie, zaskoczeni nagłym alarmem.

16-go stycznia w schronie powstała panika na wiadomość, że z sąsiedztwa szwabki zabrali mężczyzn do pomocy przy pakowaniu tego, co w Krakowie zgrabili. Tego dnia wieczorem usłyszeliśmy głuche detonacje. To Niemcy wysadzili mosty na Wiśle. Następnego dnia znowu alarm i niemal równocześnie bombardowanie. Wśród okropnego gwizdu jedna z bomb spadła na Plantach naprzeciw domu, w którym przebywałyśmy, na tyłach kościoła św. Józefa, znajdującego się przy ul. Poselskiej. Podmuchał tak silny, że odrzucił skrzynki z piaskiem, zakrywające okna naszego schronu, a tumany kurzu i pyłu wtargnęły do wnętrza. Kilka bomb spadło nie eksplodując na ogród sióstr Urszulanek za budynkami przy ul. Starowiślniej. Inne spadły przy Plantach Dietla i ul. Krakowskiej. Radziecki nalot trwał krótko. Słychać już było odgłosy zbliżającego się frontu. W południe wyszliśmy przejść się w stronę Rynku. Niemców nie było widać. I znowu alarm. Chronimy się w Kościele Mariackim. Po chwili słychać chrzęst pojazdu gaśnicowego. Zainteresowana podbiegam do wyjścia. Rynkiem od strony św. Wojciecha sunie czołg. W tym momencie przerażona Mamusia wciąga mnie do wnętrza świątyni. Po upływie minuty z bocznego przedsionka od strony Placu Mariackiego słychać ostry, rozkazujący głos kobiety w języku rosyjskim, nakazujący opuszczenie podziemia kościoła. Stwierdziła, że w skrzyni, na której siedziały dzieci tykała bomba zegarowa. Wśród znajdujących się tam ludzi powstał popłoch. Po chwili nadbiegło dwóch radzieckich żołnierzy, którzy powtórzyli rozkaz wyjścia.

Po opuszczeniu kościoła Mariackiego nie czekając na odwołanie alarmu, którego już chyba nie było, pomimo bolącej mnie jeszcze zranionej nogi, pospiesznie wracałyśmy. Będąc już blisko domu zmuszone byłyśmy schronić się do najbliższej bramy. Przyczyną był nadjeżdżający z ogromną szybkością od strony Wawelu mały samochód wojskowy z trzema hitlerowcami, w który ktoś siedzący na drzewie na Plantach rzucał granatami. Szwabom udało się umknąć. Dalszą część dnia i noc siedziałyśmy w schronie.

Na ulicach miasta żołnierze radzieccy toczą ostre walki z wrogiem. 18-tego stycznia cały Kraków był wolny. Wraz z wyzwoleniem skończyły się moje wędrówki łączniczki, mój drobny wkład w walkę z okupantem.

Kraków wolny – ogromna radość i oszołomienie, że tak szybko i tak mało uszkodzony. Mieszkańcy swobodnie chodzą po ulicach, wszak nie grożą nam już łapanki, wywóz do obozów śmierci czy na roboty do Rzeszy. Mamy spokój i swobodę, chociaż wojna trwa nadal. Już następnego dnia po wyzwoleniu Krakowa do pracy przystąpili tramwajarze, kto żyw własnymi siłami, po kilkunastu, spychali z ulic miasta uszkodzone podczas walk wozy do remizy. Tam je remontowano, by były gotowe, gdy będzie mogła ruszyć komunikacja. Dość szybko podejmują pracę fabryki i biura, chociaż nie od razu była zapłata. Pracowano najczęściej za żywność z tzw. „UNRR-y”, tj. paczek z USA. Codziennie przybywa budynków, na których saperzy radzieccy piszą kredą „min niet” – oczywiście po rozminowaniu.

Ponieważ nasze mieszkanie zostało uszkodzone podczas wysadzania mostu, dostajemy przydział na inne przy ul. Wybickiego 20.

Z końcem lutego czy z początkiem marca przed świtem jeszcze raz groza bombardowania. To wrogi samolot przedostał się nad Kraków zrzucając swój ładunek. Wtedy uszkodzeniu uległa kamienica przy ul. Kremerowskiej Bocznej, gdzie bomba upadłszy tuż przy ścianie wyrwała kawał parteru. Przy ul. Karmelickiej 49 budynek łaźni miejskiej legł aż do piwnic, grzebiąc zamieszkałych tam siedem osób, wysiedleńców z Warszawy. Dziś na tym miejscu rosną drzewa. Również całkowitemu zburzeniu uległ dom przy ul. Krowoderskiej, jak też dostało się budynkowi poczty dworcowej. W jakiś czas potem, nie pamiętam daty, ściana tejże poczty runęła, przygniatając na śmierć przechodzącą w pobliżu kobietę z dzieckiem. Tak to w wyzwolonym już Krakowie nadal ginęli ludzie. Chociaż walki frontowe rozgrywały się na Śląsku – tu nadal słychać było detonacje. To polscy saperzy unieszkodliwiali miny poza Krakowem, wykryte wcześniej w budynkach miasta i na polach uprawnych, które wciąż groziły śmiercią. Śródmieście miało nadal wygląd twierdzy wojennej. Wrażenie takie sprawiały bunkry i olbrzymie kloce betonowe, umieszczone przez okupanta na skrzyżowaniach ulic, a które miały za zadanie po ich wysadzeniu zatarasować przejazd czołgom wyzwalamującym miasto.

Walki już w Berlinie... Wreszcie kapitulacja Niemiec i koniec wojny. Koniec tej strasznej udręki! Minęły lata, a we mnie wciąż tkwią przeżycia okupacyjnych, ponurych dni. Do dziś mam w uszach warkot tamtych samolotów...